

Z cyklu: MARZENIA ŚCIĘTEJ GŁOWY
Zakończenie legendy o wiecznym tułaczu

„Naokoło Świata”,
nr 64 z 1929 roku

Spotkałem go na Nalewkach. Stał przed witryną wędliniarni koszernej i wzrokiem pożerał zaśnieżone serdelki. Sięgnąwszy do kieszeni po garść miedziaków, zaczął obliczać. Zauważyłem monety greckie, tureckie i rumuńskie.

Był szary, niepokąźny. Dziw, że zwróciłem nań uwagę. Brudne łachmany, podarte obuwie, przepełniona torba podróżna. I poszedłbym dalej, nie zatrzymując się wcale, gdyby nie jego fenicka broda, spadająca w splotach spiralnych na piersi.

Przeliczył pieniądze, westchnął, schował je w zanadrze, spojrzął po raz ostatni na serdelki i z wolna powlókł się w kierunku Muranowa.

– Chodź pan do mnie – rzekłem.

Po chwili siedzieliśmy w dorożce samochodowej. Nieznajomy źle mówił po polsku. Mieszając cudzoziemskie słowa, opowiadał:

– Ja tu bywałem przed wojną. I jeszcze dawniej też bywałem. Oj, dużo się zmieniło. Na przykład taki wóz, co sam jedzie bez konia. A gdzie teraz stoi gorodowoj? On zawsze stał na tym rogu. Taki gorodowoj to mnie raz gonił po ulicy i krzychał: „Ach, ty proklata boroda!”. Musiałem mu dać pół rubla. Podobno w Rosji teraz nie ma cara? Rosja to wielki kraj, tylko pusty. Można dwa dni chodzić i żadnej wsi nie spotkać. Bandytów dużo i psy bardzo głośno szczekają. W Grecji teraz bieda i w Turcji też. A we Francji i w niemieckich krajach żebrac nie wolno. Ciężkie czasy. Wiesz pan, tu jeszcze najlepiej. Już dwa tygodnie chodzę po Warszawie i nikt mnie o paszport nie zapytał. Teraz z wizami kłopoty. Z konsulatów wyganiają, a fałszywa kosztuje dwadzieścia dolarów. Dawniej tak nie było. Tylko w Rosji i w Turcji wymagano paszportów. Pan się dziwi, że ludzie miewają fałszywe dokumenty? Ja się pytam, co oni mają robić, jeżeli ich nie przepuszczą przez granicę? Najlepsze paszporty wyrabia Loevy w Salonikach. Bardzo zdolny kaligraf. Jestem jego stałym klientem. Na przykład teraz mam papiery greckie, a jak dobrze zapłacę, to da mi angielskie. Loevy solidny kupiec.

Wprowadziłem gościa do domu. Kupiłem mu glinianą miszkę, nie chciał bowiem jadać z naszych talerzy. Ponieważ z nieufnością spoglądał na potrawy, musiałem zgodzić się na kontrolę w kuchni. Wiele mnie też kosztowało zachodu, aby namówić go do sypiania w łóżku. Początkowo rozciągał się na podłodze, podkładał torbę pod głowę i chrapał. Wykąpaliśmy go, fryzjer wyrównał mu wąsy i brodę, a krawiec dostarczył ubranie marynarkowe.

Po dziesięciu dniach zaczął wymykać się z domu. Spotykałem go przed oknami banków. Oglądał akcje, papiery wartościowe, tabelki kursów giełdowych. Pewnego razu wprowadził mnie w zdumienie.

– Te Częstocice – rzekł – na pewno pójdą w górę przed nową emisją. Ja panu co powiem. Pan sobie kup zawczasu, a później możesz pan sprzedać i zamienić na dolarówki, jak spadną po losowaniu.

Dziwny ten człowiek stał się bywalcem pewnej kawiarni w okolicy Ogrodu Saskiego. Zawarł znajomość z czarną giełdą, a nawet wkręcił się do kompanii pokąt-

nych bankierów. Pewnego dnia znikł. Szukałem go. Nie znalazłszy, machnąłem na wszystko ręką.

Po miesiącu złożył mi wizytę. Ubrany był według ostatniej mody. Pod pachą trzymał teczkę. Na powitanie zawołał:

– A co, nie mówiłem, że trzeba kupować Częstocice?

Z dalszej rozmowy wynikało, iż zdążył już sobie wyrobić obywatelstwo polskie, nabył lokal i w danej chwili zajęty był remontem. Zakładał bank, do spółki z wiedeńskimi kapitalistami.

– Pan dostaniesz zaproszenie na bankiet – dodał, klepiąc mnie po ramieniu.

Wiedziony ciekawością, wyrobiłem sobie pewnego razu przepustkę na oficjalną giełdę. Mój pupil kręcił się w ciżbie międzynarodowych fizjonomii, wykrzykując:

– Lilpopy, Lilpopy, Lilpopy! Kupuję Lilpopy, Lilpopy!

Spostrzegłszy mnie, podszedł, przywitał się i szepnął:

– Pan pojęcia nie masz, jaki jest teraz popyt na papiery metalurgiczne.

Zauważyłem w nim wyraźną zmianę. Utył, nabrał manier bursiarza kosmopolity. Z fenickiego zarostu nic nie pozostało. Stał się nerwowy, gestykulował gwałtownie. Do ocierania potu używał jedwabnej chusteczki.

Byłem na bankiecie. Zwiedziłem też apartamenty nowego banku – pod firmą „Ahasverus et Co”.

Dla ścisłości muszę dodać pewien szczegół. Podczas pobytu wędrowca w moim domu, namalowałem jego portret. Po pewnym czasie znalazł się w Zachęcie pod nazwą „Wieczny tułacz”.

Wisiał krótko. Sprzedano go bankierowi nazwiskiem Ahasverus. Podobno nabywca nie uszanował mej pracy.

Przekonałem się o tym nazajutrz, gdy w telefonie zadzwieczał znajomy głos z cudzoziemskim akcentem:

– Pan zupełnie niepotrzebnie wystawiałeś mnie z brodą na widok publiczny. Trzeba było przyjść do banku. Mój kasjer wypłaciłby panu żadaną cenę w dolarach. Wiesz pan co? Zrób mi pan teraz nowy portret, we fraku. Przyjdź pan, pogadamy. Mam fajne cygara z Antwerpii.

Władysław. Zambrzycki